

JULIUSZ ŻULAWSKI

Widowisko które zostanie

„CUD MNIEMANY czyli KRAKOWIACY I GÓRALE“ — ta „opera narodowa“ Wojciecha Bogusławskiego, napisana tuż przed Insurekcją Kościuszkowską w 1794 roku, niemal zupełnie zatraciła swój wyraz artystyczny i swój sens polityczny w licznych późniejszych przeróbkach. Dopiero niedawno, dopiero w Polsce Ludowej, dopiero parę lat temu odszukano na nowo jej właściwe treści. Zrobił to Leon Schiller, dając scenom naszym trwałe dzieło reżyserskie, trwałą koncepcję inscenizacyjną, która stała się jeszcze jednym w historii teatru dowodem pracy reżyserskiej rzeczywiście twórczej i nie ginącej wraz z ostatnim spektaklem. Ten utwór wielkiego Bogusławskiego wystawiany był już w schillerowskiej inscenizacji w Łodzi, objechał wraz ze swym reżyserem i jego zespołem teatru w Czechosłowacji, wystawiany był w Katowicach, w chwili obecnej wystawiany jest w Państwowym Teatrze Narodowym Imienia Wojska Polskiego w Warszawie, pojawiać się będzie na pewno nieraz jeszcze w repertuarach naszych teatrów.

Toteż pisano już o tym wiele. Omawiano obszernie walory nowego ujęcia scenicznego, sens dokonanych przez inscenizatora wstawek, sens całego opracowania literackiego i widowiskowego, który konsekwentnie zmierzał do wydobycia właściwych, rewolucyjnych dla swojego czasu, treści utworu i do wzbogacenia jego barw ludowych. Zamazana w poprzednich przeróbkach postawa głęboko racjonalistyczna, narodowa i rewolucyjna, na której budował swój utwór Bogusławski — tu właśnie, w schillerowskiej koncepcji widowiska, stała się punktem wyjścia całego nowego opracowania.

Obecne przedstawienie, które oglądaliśmy na scenie Państwowego Teatru Narodowego Imienia Wojska Polskiego, nie odbiega zbyt daleko od pierwszego — w tym opracowaniu — spektaklu pokazanego nam parę lat temu w Łodzi. Teraz także spotkaliśmy się z reżyserią Schillera, z opracowaniem scenograficznym — z dekoracjami i kostiumami — Daszewskiego, z tymi samymi aktorami w niektórych rolach. Są jednak różnice — i podnoszące artystyczny poziom widowiska i obniżające go w niektórych wypadkach.

Dekoracje wydały mi się tym razem jeszcze lepsze. Przy całej swej „operowej umowności“ bardziej jednak żywe, realniej związane z ludowym kolorytem wydarzeń scenicznych, z pokazanym tu środowiskiem i regionem, wyraźnie mocniej skomponowane, pomimo nie zmienionej na pozór zasadniczej koncepcji plastycznej. Natomiast kostiumy — wprost ośniewające swoją rozrzuconą barwnością — trochę mniej tym razem zaniepokoiły. Stylizacja ich w wielu wypadkach stanowiła zagubiona odpowiednio swe elementy ludowe. Przy trafnie i prosto narysowanym kostiumie starego Wawrzyńca — kostiumy Górali tym bardziej wydają się nierealne z punktu widzenia charakteru widowiska, przypominając raczej stroje Indian niż podhalańskiego ludu. Także stroje Krakowiaków przekraczają tu i ówdzie w swej stylizacji granice stylu, granice elementów realnych. A gdy stroje te poruszają się w układzie tańców Hryniewickiej — jak zawsze nadmiernie przestylizowanych, przestylizowanych aż do gubienia prawdy o naszych tańcach ludowych — cała sprawa zaczyna dźbiać się nie na tej ziemi. Siedząc na widowni, starałem się z najlepszą wolą odpędzać napastujące mnie widmo obrazów Zofii Stryjeńskiej. Ale w paru wypadkach nie udało mi się tego dokazać.

Jestem przekonany — przy całym uznaniu dla głębokiej wartości plastycznej wielu kostiumów i dla barwnej „fotogeniczności“ wszystkich — że gdyby i kostiumy te i tańce mocniej związane były z elementami realnymi, wspaniałość widowiska nie tylko by na tym nie ucierpiała, ale zyskała by



„Krawiacy i Górale“ w teatrze Narodowym w Warszawie. Od lewej: Danuta Wodyńska, Stefan Śródka, Tadeusz Cygler. Reżyserował Z. Schiller, dekoracje i kostiumy Wł. Daszewskiego

(Foto. Hartwig)

tak, jak zawsze nie traci się artystycznie, lecz zyskuje, na prawdzie.

Aktorzy ani trochę nie wyrzekli się tej prawdy. Szczepkowski grał swą rolę studenta Bardosa z wielką naturalnością i z doskonałym narysowaniem tej politycznej kluczowej tu postaci. Uniknął wszelkiego rezonerstwa, prezentował sobą historyczność chwili w sposób ludzki i prosty. Wyszedłem — i nie ja jeden — po przedstawieniu przekonany, że tak właśnie rolę tę grać się powinno. A wywołanie na widowni takiego przekonania jest chyba zawsze największym sukcesem aktora.

Bonacka — jako Basia — utrzymała swoją przodującą i wyrazistą pozycję w zespole z takim samym wysokim artystycznym i bezpośrednio działającym naturalnością, jak i dawniej, przy innych okazjach wystawiania tego widowiska. W tym teatrze jednak ujrzymy w tej centralnej roli — jak program zapowiada — jeszcze dwie inne aktorki: Marię Krawczykówną i Halinę Gluszkówną. Już nie jako „przyzwyczajeni“ do dotychczasowej wykonawczyń tej roli — z tym większą ciekawością oczekiwaliśmy nowego ujęcia, nowego wyrazu dla tej postaci, wokół której kształtuje się cały konflikt sceniczny utworu Bogusławskiego.

Wodyńska jako Dorota bywała chwilami może trochę zbyt „eteryczna“, może trochę za mało ludowa, jak na postać wiejskiej młynarki z temperamentem, która chce

wszystkich za nos wodzić. Jak zawsze doskonała i prawdziwa w charakterze był i Fertner jako młynarz Bartłomiej, i Śródka jako Jontek, i Cygler jako Bryndas — ów „Janosik“ ze świetnie uchwyconą, typową pychą góralską.

Natomiast Szczepański w roli Stacha nie przekonał nas zbyt. Było coś chwelnego w tej postaci, jak gdyby aktor nie zdecydował się jeszcze, jaki właściwie nadać jej charakter, jak ją skonstruować z innymi.

Na przedstawieniu, które widziałem, z ciekawością czekaliśmy na Surowę w groteskowej i nie pozbawionej celnych momentów satyrycznych roli organisty Miechodmucha. Stał się jednak jeszcze jeden cud w ramach utworu: wyszedł niestety ktoś inny i to niezbyt panujący nad tą charakterystyczną rolą. Był to zresztą również cud tylko mniemany.

O widowisku całym nie powiedzieliśmy tu wszystkiego, nie chcemy się powtarzać — pisano już o tym przez ostatnie lata niejednokrotnie. Dodajemy uwagi, które nasunęły się nam z okazji obecnego przedstawienia na scenie Teatru Narodowego. Tego teatru, w którego gmachu Bogusławski wystawił swój utwór ponad sto pięćdziesiąt lat temu — i w którym dzisiaj znowu utwór ten gra żywymi barwami, ocalony przed zapomnieniem i odnowiony przez cześć okazaną naszym tradycjom postępowym i rewolucyjnym.

Juliusz Żulawski